

# Gołębiowski, Stefan

---

Z albumu wspomnień, "Życie  
Warszawy" 1982, nr 292 : [przedruk]

---

Bieżuńskie Zeszyty Historyczne 25, 223-226

---

2011

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Z ALBUMU WSPOMNIENI

„Życie Warszawy” 1982, nr 292

Widocznie niebo na święta postanowiło zrobić porządek na ziemi i przykryło jej brudy, żeby się stała nad śnieg bielszą. Wiatry same zaprzęły się do pracy i taką sprawiły zamieć, że ziemia stanęła w bieli niepokalanej poczęta. W szatach godowych.

Do tej bieli śnieżnej w sam raz pasował wigilijny obrus i na nim bielutki opłatek, którym łamali się matka z ojcem i ze mną. Syn starszy, którego krzesło stało puste, nie mógł, pomimo usilnych starań, z Płocka przyjechać na święta, bo zasypany śnieżne w terenie falistym były większe niż u nas.

Siedem było potraw wigilijnych, ale z nich najbardziej smakował mi barszcz z uszkami grzybowymi. Jadłem z apetytem, aż mi się uszy trzęsły. Zwykle kaprysiłem przy jedzeniu, a tu, zamiast mnie, zaczęła matka kapryścić.

— Nie jedz tak chciwie tych uszek, bo będziesz miał uszy za długie.

Po Wigilii pasterkę przespałem i tak jakbym przespał pierwszy dzień świąt, bo nic z tego dnia nie pamiętam. Za to dzień drugi i noc z drugiego na trzeci, chociaż trzy ćwierci do śmierci tego wieku z górą minęło, pamiętam, jakbym je utrwalił w kliszy i umieścił w albumie wspomnień.

Ścisłe mówiąc, nie cały dzień Młodzianków, lecz jego drugą połowę. Zaczęła się ona wkrótce po wczesnym obiedzie od wielkiego lustra, w którym matka moja lustrowała długą z trenem szafirową suknię, w koronkach bluzkę i swoją w lokach fryzurę rurkami trefioną.

Nie zwracała na mnie uwagi. Przecież już miałem na sobie odświętne ubranko i na nim barankowe futerko, z którego wyrósł mój brat starszy. Zapiąłem guziki, zapiąłem czapkę ma uszy i wymknąłem się z domu.

Sanki, wydobyte z szajerka, stały już gotowe do jazdy na środku podwórza. Siedzenie jedno dla mnie, na toczku z workiem sieczki przykrytej kocem, opatulonego pledem z nogami w słomie. To z przodu, a z tyłu wygodne, wymoszczone wołokiem siedzenia dla rodziców.

Ojciec Gniadą wyszczotkowaną w półszorku wyglansowanym już ze stajni wyprowadził. Za uzdeczkę w jednym ręku, podczas gdy w drugiej trzymał dzwonek. Żeby Gniadą wprowadzić między dyszółki, do potrzymania dał mi dzwonek. Chwyciłem go z radością i pobie-

głem do domu oznajmić matce sercem dzwonka i moim głosem jak dzwonek, że odjeżdżamy. Na wesele.

Do Kosemina. Do cioci Tekli Tyszkowej, która wydawała za mąż swoją najstarszą córkę za przystojnego i zamożnego kawalera z waszecia. Miał kupiony na licytacji dwór, jeszcze nie wyposażony. Dlatego całe wesele miało się odbyć zaraz przez ogród obok, w dworku panny młodej.

Wyjechaliśmy o wczesnym zmierzchu. Przez ulicę Młyńską, obecnie Zamkową, Stary Rynek, Warszawską, Kościelną obok cmentarza, gdzie spoczywa Helenka, Orszulka domu naszego, której trumienkę z uśpioną snem wiecznym pono na krzywicznych nóżkach obtańcowywałem tak, że aż na nóżkach skakała.

Do Dąbrówek droga jeszcze jako tako utorowana, a dalej na pół zawiana szła do Białogóry, u której podnóża w olszynie mieliśmy łąkę. Mijamy zawiane kopczyki jałowców, które wyglądają jakby drogę zgubiły i jej szukają.

Następnie mijamy dwie drogi sobie przeciwne: do Władysławowa i do Stanisławowa, nazwy wsi od imion synów Andrzeja Zamoyskiego, ongiś właściciela klucza dóbr biezuńskich. Dodaję wyjaśnienie od siebie.

Za chojniakami Adamowe pola. Wiatr pochmurny ruszył za nami i już zaczyna śniegiem prószyc. Drogi nie widać, ale na szczęście wierzby biegną przed nami. Dzwonek nas prowadzi. Gniada na zdrowie parska.

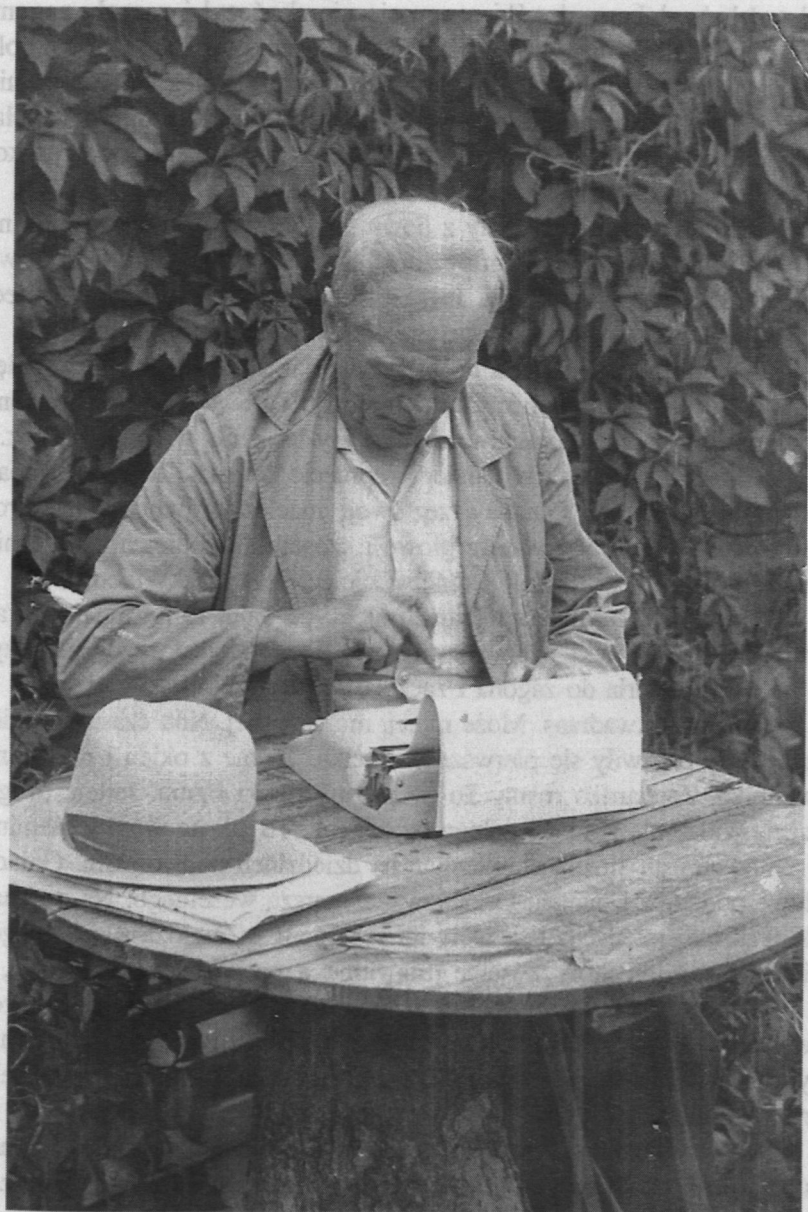
Na lewo świeci Jaworowo Lipa. Przy zakręcie w prawo droga w stronę Jaworowo Wabie. Tych Jaworowo jest podobno dziewięć i w drogach do nich trudno się połapać. A co mówić przy zawianych. Urwanie głowy.

Zamyka je Jaworowo Kolonia odosobnioną chatką, co się pstrzy kagankiem. Jechać do Zawidza Kościelnego na ślub za późno. Nie ma innej rady, tylko należy skrócić do Kosemina.

A tu droga, szukaj wiatru w polu. Ojciec szarpnął lejcami do siebie i Gniada przystanęła. Dobrze, że nie zapomniał o latarce. Nakryty od wiatru bondą z trudem knotek zapalił. Ruszył lejcami i oczyma szuka drogowskazu. Ramion nie widać. Sterczy jednak słup na rozdrożu.

W lewo kieruje konia. Jedziemy prosto przed siebie. Wiatr już nas nie popycha, tylko w bok wieje. Ujechaliśmy może wiorstę, może więcej, kiedy Gniada skręciła w prawo, a ojciec ją poprawił i narychtował wprost.

— Wszyscyśmy na jakieś zagony — tak ojciec później opowiadał —



**Stefan Gołbiowski przy pracy. Fot. R. Marjański.**

Wjechaliśmy na jakiś zagon — tak ojciec później opowiadał — i dotąd było dobrze, dopóki zagon się nie skończył i zaczęły zagony biec w poprzek. Sanki zjeżdżały z górki na pazurki tak długo, aż się pola skończyły, a teren po pochyłości wiódł, gdzie leżał śnieg kopny. Pewnie łąka podmokła i dalej moczary po wykopanym torfie. Zamiast wesela, ruski chrzest zimowy. Słyszę dwugłos ojca i matki. Nie ma co ryzykować. Nie ma rady, zawracajmy — decyduje matka.

Zataczamy koło i jedziemy z powrotem, ale taka zamieć, że już na swoje ślady nie trafiamy. Zagony znów się kładą w poprzek. Gniada we mgle. Tak para od niej bucha. Jeszcze się przeziębii. Trzeba ją wytrzeć. Stajemy. Ojciec spode mnie wyciąga derkę i z Gniadej pot wyciera.

Ręka od grzbietu dotarła do brzucha i naraz, od wewnątrz kopnięcie. To źrebak tak się poruszył. Już niemały. Za dwa miesiące powinna się ożrebić. I naraz nieoczekiwana myśl błysła. Z nią wrócił do sanek.

— Matka, poczułem w Gniadej kopnięcie źrebaka. To znak, źrebak nas ocali. Zobaczysz, Gniada przez swoje macierzyństwo znajdzie drogę do wesela. Koń ma wielką głowę i czasem się lepiej orientuje niż człowiek — sentencjonalnie skończył ojciec i zawołał: Wioooo!

Gniada nie kierowana lejcami pojęła, że dalej sama musi szukać drogi. Skierowała pysk w prawo, potem w lewo i ni stąd ni zowąd ruszyła na ukos. Dotarła do zagona i zaczęła iść po grzbiecie.

Jechaliśmy kwadrans. Może mniej, może więcej. Nikt czasu nie mierzył, kiedy pojawiły się pierwsze światełka. To nie z okien i nie żadne światełka. Za bardzo rosną. To po prostu krzaki ognia. Jeden, drugi, trzeci. Widać blask światła okien weselnych. To jak na dłoni Kosemin.

Stos chrustu strzela płomieniem na dziedzińcu podworskim. Gniada głowę podrzuca i parska. Orkiestra gra marsza weselnego. Na powitanie. Państwo młodzi pół godziny temu wrócili z Zawidza Kościelnego. Siedzą z gośćmi. Stoły weselne ustawione w podkowę. Na szczęście.

Pierwsze wesele wydobyte z zamieci czasu i zamiecią przyprószone. Niewiele z niego pamiętam w porównaniu z tym, na którym nie byłem i być nie mogłem. Pięć dni przed moimi urodzinami. Na weselu bronowickim.

Tam przez okno listopadowe widać było Chochola, a ja nie Chochola za oknem grudniowym ujrzałem, lecz tylko z czarnymi węglami, zamiast oczu, bałwana z miotłą na kiju podniesioną do nieba na znak protestu, że nie został na wesele zaproszony.